

Z ciszy, z mroku zalegającego szas, w którego kacie obaj siedzieli, dobył się szepł wahający: — Korewa... bo, widzisz... oni tam rozejdą się z pewnością, a już byli zgromadzeni... zmarumie się cała robota Okuzki, żebyś tam... Tobie zaufała — ja tu nad twoją partją komendę mogę objąć... Poszedłbyś tu! Ja ci przepie nie rozkazuję, nie mam prawa... tylko... pytam. Potrzebni będą bardzo tamci ludzie.

(D. C. N.).

Przemykali się cicho, tajemnie, bo tuż za płytką sołną burtą leżały owe Soluny z rezydującym w nich oddziałem pułkownika Grunta, a im zależało na czasie, by przed nocą połączyć się z drugą partją. Wipe szli, oczekując się, niekiedy przypadając do ziemi i leżeli bez ruchu przez trwa-
nie paru minut; gdzie drzewa rzadły i odsłaniały się głąb lasu, tam oni ożogali się od krzaka do krzaka. O-
bejść tego niebezpiecznego miejsca nie było można, dlatego, że w pobli-
żu ciągnęły się grząskie oparzeliska niedostępne latem dla ludzkiej sto-
py. A Korewa postanowił dziś, ko-
niecznie dziś, choćby późnym wie-
czorem doprowadzić swoich ludzi do
tamtego obozu. Już i rozpraszacz się
nie pozwalał gromadnie dążyć. by-

